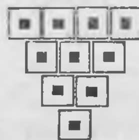
„GÓRKA“

MIESIĘCZNIK
młodzieży i dziatwy, przebywającej na Górce.



2|7. L U T Y 1931 r.

Oto znowu wyjazdy...

W połowie bieżącego miesiąca wyjechało od nas znowu kilkanaścioro dzieci, a w tej liczbie 9-ro w pozycji leżącej. Przyjechały one do nas jako ciężko chore—stan ich wymagał dłuższego leczenia, a tem samem długiego pobytu w sanatorjum. Niestety, instytucje, które przysłały je do nas na leczenie, kierując się tak względami ustawowymi jak i długotrwałem przesileniem gospodarczem, zażądały odesłania dzieci, bez względu na stan ich zdrowia. Pod znakiem przeżywanego przez cały świat kryzysu gospodarczego idzie dziś nawet i leczenie dziecka chorego.

Wyrwane z nędzy, przyjeżdża dziecko polskie z różnych miejscowości Polski, nieraz setki kilometrów odległych od Górki po to, by z drogi do zdrowia zawrócić, by dalej się męczyć.

I mimowoli narzuca się pytanie: czy w takich warunkach ma cel leczenie dziecka przewlekłe chorego? Patrzymy na to i ze zgrozą zapytujemy siebie kiedy na nas kolej przyjdzie? A może już przyszło do administracji wezwanie wyjazdu? Zdrowy czytelnik czytający te słowa może nie zrozumie, może nie odczuje, ile grozy, lęku i żalu mieści się w tych pytaniach. Ale drodzy, czy wiecie Wy co to jest żądza życia, co to jest tęsknota za zdrowiem, gdy przez kilka lat leży się przykutym do żłobka gipsowego na twardem łożu? Niech to jedno pytanie starczy Wam za odpowiedź. Patrzymy na to codziennie, widzimy wymizerowane dzieci, które pełne lęku i obawy przyjeżdżają tu na nieznaną Górkę po zdrowie Widzimy beznadziejną rozpacz i strach przed czemś nieznanem, z szeroko otwartych ich oczu wyglądające. Patrzymy i widzimy, gdy po kilku tygodniach na tych bladych obliczach zjawia się pierwszy rumieniec, buzia wypełnia się i myślimy — oto już są na drodze do zdrowia.

I widzimy znowu jak nagle wywożą. Z oczu ich przeziera wówczas krzyk ich dusz: — chcemy żyć!

Widzimy to i słyszymy, albowiem i nasze serca krzyczą.

A jednak nie pozostajemy bez nadziei, nie wyzbyliśmy się wiary w jutro. Wierzymy, że musi się znaleść rada na to — musi! Rozumiemy' że trudno żądać w tej chwili od państwa, samorządu, powszechnego leczenia dziecka, musi być inna droga, myślimy nad tem i w przyszłych numerach może podamy myśli które opinja zdrowej młodzieży osądzi czy są realne, czy też nie. Wierzymy, że środki pomocy dziecku i młodzieży chorej znajdzie sama młodzież zdrowa, ofiarna i ideowa, a środki te będą tak silne jak jej zapał i poświęcenie dla dobrej sprawy.—

Pamiętajcie o tem, że w Polsce jest kilkaset tysięcy Polaków potrzebujących natychmiastowego leczenia. Pamiętajcie, że z tych kilkuset tysięcy zaledwie ułamek odsetka racjonalnie leczy się.

To Wam młodzi napewno wystarczy!

REDAKCJA.

Szkoła — uzdrowisko, czy tylko uzdrowisko?

Dotkliwie daje się odczuć brak zainteresowania u społeczeństwa i zrozumienia celu kształcenia dzieci i młodzieży przewlekle chorych. Organizowanie szkół sanatoryjnych jest u nas jeszcze czemś tak nowem, że większość ogółu nie docenia doniosłości i znaczenia pracy na tym odcinku. Wiele jednostek jest wręcz przeciwnego zdania.

Za przykład niech nam służą obce Państwa jak Francja, Anglja, Szwajcarja, Belgja, Niemcy, które stworzyły nie tylko szkoły sanatoryjne, ale całe nieomal osiedla dla gruźlików, typ innego społeczeństwa. Ludzie ci, złączeni wspólną dolą, mogą się tam czuć możliwie dobrze. Szkoły — sanatorja są tam dzisiaj doskonale zorganizowane. Osobnicy opuszczający wyżej wymienione zakłady idą w życie nie tylko ze zdrowiem, ale mają już wytknięty cel, odpowiedni zawód, który umożliwi im dalsze życie.

Dlaczego u nas kwestja ta nie miałaby wzbudzić zainteresowania, stać się więcej żywotną, traktowaną poważnie i przychylnie? Wszak to jest niemożliwem, ażeby tak ze spokojem pozostawić losowi ćwierć miljona młodzieży i dzieci chorych na gruźlicę kostną, nie dać im żadnej pomocy. Tembardziej że choroby te są uznane przez lekarzy za wyleczalne; że sprawa jest dość długa, wymagająca kilkuletniego leczenia, to nie dowodzi, ażeby z akcji tej należało zrezygnować. Po upływie terminu leczenia możemy być zupełnie zdolni do pracy i wywiązać się z niej równie dobrze, jak ludzie zdrowi. Ażeby znów nie tracić czasu trzeba nam dać możność wykorzystania tych lat w których się leczymy, dać możność leczenia i uczenia się. Istnienie sanatorjum bez szkoły jest niedopomyślenia. Cóż bowiem dziewczyna czy młodzieniec uczyni po wyleczeniu, jeżeli nie będzie nic umieć, nie będzie posiadać żadnego zawodu? Zacząć się dopiero uczyć jest rzeczą niemożebną, ponieważ bardzo często osobnik, opuszczający sanatorjum ma już ponad dwadzieścia lat życia i nie zawsze pomyślne warunki materjalne. Następnie pewien defekt — pozostałość z choroby w postaci zesztywnienia stawów, którejś z kończyn, lub noszenie przez pewien czas aparatu ortopedycznego czyni nie małą zaporę do zdobycia sobie stanowiska Stąd wynika, że nie wystarczy wyleczyć kogoś, ażeby go uszczęśliwić. I po wyleczeniu niejedna wybitna nawet jednostka może się zmarnować.

I właśnie wtedy wysiłki leczenia będą chybione.

Prosimy przeto całe społeczeństwo o zainteresowanie się naszą sprawą,— o organizowanie przy sanatorjach nie tylko przedszkoli, szkół powszechnych, ale także i szkół średnich. Otwórzcie nam drogę do wiedzy, ażeby i wyższe studja były dla nas dostępne i możliwe.

Między chorymi przewlekle spotyka się bardzo często dzieci i młodzież wybitnie inteligentną i zdolną, których naprawdę nie powinno się marnować. Następnie bardzo wiele dzieci zapada na gruźlicę w wieku przejściowym i w tym czasie kończą także szkołę elementarną. Ci nie mogą poprzestać na tem i nie iść dalej, bo, „kto nie idzie naprzód ten się cofa", a nam nie wolno się cofać, nie powinniśmy nic tracić.

Dla młodzieży mniej zdolnej stworzyć należy szkołę rzemiosł, z odpowiadającemi ich zdrowiu działami. I tak: mając zesztywniałą nogę, można z powodzeniem być krawcem czy krawczynią. Modniarstwo, zegarmistrzowstwo, koszykarstwo, szczotkarstwo i zabawkarstwo i wiele, wiele innych zawodów stoi otworem dla uleczonych gruźlików kości. Wiele z tych zawodów daje niezależność materjalną, jako wolne rzemiosło, nieobjęte przemysłem fabrycznym. Trzeba bowiem zaznaczyć, że niezależność jest bardzo ważnym czynnikiem w naszem położeniu. Następnie były pacjent-wychowanek po wyleczeniu może z powodzeniem być nauczycielem sanatoryjnym.

Zesztywniony staw, czy aparat, nie będą mu tutaj przeszkadzały, jakby to miało miejsce w szkołach dla dzieci zdrowych, ale umożliwi mu poniekąd zbliżenie się do dziecka. Dziecko ma większe zaufanie do osoby, która dzieli z nim wspólną dolę,—czuje się pokrewnem. I człowiek również tylko chory zrozumie i odczuje potrzeby, zrozumie stan psychiczny dziecka, ponieważ sam przechodził ten etap załamań się, szarpania, depresji i będzie wiedział jak w danym wypadku zareagować. Człowiek zdrowy natomiast nigdy nie zrozumie w zupełności chorego, co w znacznej mierze utrudnia mu zdobycie zaufania tegoż dziecka.

Toż samo zawód pielęgniarski. To miejsce jest również dla człowieka, który był niegdyś chorym. Nie powinno przeto być przy egzaminach żadnych utrudnień, i tak samo człowiek niegdyś chory, jak i zdrowy powinien być dopuszczony do egzaminu jeśli się tylko czuje na siłach.—

Dotychczas w naszem sanatorjum jest tylko przedszkole i szkoła powszechna. Młodzież przybywająca tutaj ze szkół średnich również się uczy, lecz niema sił odpowiednich i dzięki tylko uprzejmości PP. Nauczycielstwa szkół powszechnych czerpiemy wiedzę. Praca ta jednakże jest ciężką, wiele posiada różnych niedomagań i usterek z powodu braku najprymitywniejszych pomocy naukowych, odpowiednich przyrządów, a nawet podręczników, a przedewszystkiem czasu, ze strony P. P. Nauczycielstwa, które i tak pracuje ponad siły.

O tem jak wyobrażam sobie właściwą szkołę sanatoryjną w tak wielkiem uzdrowisku jak nasze, gdzie z powodzeniem pomieścić się **może ponad 200 głów dziatwy i młodzieży** napiszę w następnym numerze.

Dziś może pomysł ten nie jest zbyt aktualny, albowiem sanatorjum obliczone minimum na 200 łóżek, leczy i wychowuje i uczy 150 dzieci przy ćwierć miljona chorych w kraju!

K. Błaszkiewiczówna.

SANATORJUM.

Opromienione blaskiem rannych zórz,
rozweselone miłym uchu śpiewem,
okryte białym śniegu puchem —
złączone zwojem przewodników radja,
w pobliżu Buska na małym wzniesieniu,
a wkoło lasek, sad, ogród i drzewa —
— to sanatorjum ranny pacierz śpiewa.
Może nie wierzysz szanowny słuchaczu,
że sanatorjum bez krzyku i płaczu,
więc przyjdź zobaczysz i pewnie sie zdziwisz,
że nasze twarze chociaż schorowane,
choć przez was nawet może zapomniane —
wcale wesołe i pełne nadziei.

Może ciekawy, skąd się to nam bierze.
więc słuchaj dalej, a opowiem szczerze.
U nas jest wszystko, jak w szerokim świecie:
Szkoła, lekarze, dzieci pełne sale;
Zgrzytów i płaczu niema u nas wcale.
Codziennie lekcje, gips, roentgen, kwarcówka,
kąpiel, weranda, masaż, opatrunki,
a w wieczór radjo śle nam swe nowinki;
bo nas ciekawi, kto gra, śpiewa, płacze.
Pewnie wierzycie już teraz słuchacze,
że nam wesoło i żadne nie płacze.

Wiktor Skandynawjan.

REPARTJANKI.

Było to w 1922 roku.

Długi wąż wagonów kolejowych zatrzymał się Stacja Dorohusk. Wysiadać. Na peronie gwar, ścisk, krzyki. W poczekalni trzeciej klasy grupka dziewcząt w wieku od dwunastu do szesnastu lat, zaciągając z rosyjska, rozmawia niespokojnie, żywo. To repartjanki, przybywające z Humania, a zdążające do Warszawy — czekają na swoją nauczycielkę, która oddaliła się. Po chwili oczekiwania wraca — jest to kobieta w średnim wieku, wysoka, szczupła.

„Zostajemy tu dziewczęta, kwarantanna".

„A gdzie będziemy mieszkały"? — pyta szesnastolatka, szczupła szatynka o pięknych niebieskich oczach, Krysia Lencka.

— „W barakach."

Dziewczęta zabierają pakunki i otoczywszy nauczycielkę wokoło, gwarno idą przez ulicę. Gwarno, bo, ileż to wrażeń przeżyły — przyjazd bolszewików, masowe aresztowania, rozstrzeliwania na ulicach, panika w całem mieście i ucieczka pod obcemi nazwiskami do Polski.

Chciałyby jaknajprędzej dostać się do Warszawy — no, ale gdy nie można — odpoczną za to tutaj.

Baraki dla przybywających repatrjantów stoją na krańcu miasta. Są to budynki zbudowane dorywczo, o dużych salach, zapełnionych pryczami. Jedni przybywający mieszczą się na dole, a drudzy nad ich głowami, ponieważ prycze są piętrowe. W salach duszno, chaos niedoopisania, ze wszystkich stron słychać krzyki kłócących się ze sobą o lepsze miejsca na pryczach. Obdarte o wylęknionych oczach dzieci wałęsają się pomiędzy pryczami, ich zapadłe policzki zdają się wołać: — jesteśmy głodni.

Dziewczynki z nauczycielką dostają kawałek górnego pokładu i tam zagospodarywują się.

Zocha Zielińska staje na deskach i rozciąga koce.

— „Wiera, gdzie chcesz spać przy ścianie, czy tam z brzegu? — przy ścianie zajęte," — krzyczy, podnosząc się z nad swoich skarbów w ręcznej walizce — Ryśka Sarnecka. Kręcone jej włosy w loczkach okalają zarumienioną buzię. —

„Wiera lubi skakać, to nic jej się nie stanie jak spadnie."

„A myślisz, że boję się, ot zaraz pościelę koc" i zwinna, żywa jak iskra Wiera Marozow rozkłada się na brzegu pryczy, nogi spuszcza na dół i wywija niemi nad głowami przechodzących. —

— „Nie ściel tak zaraz," — śmieje się z niej Dona Brzezińska. piętnastoletnia blondynka, właścicielka jasnych myślących oczu i greckiego noska — „nie będziemy mogły zejść na dół."

— „To fruwajcie."

— „Dobra sobie i tak mało nóg nie połamiemy schodząc."

Rzeczywiście, trzeba było być nielada sportmenką, ażeby zejść z pryczy. Stopni nie było, lecz schodząca musiała zaczepić nogę o słupek podpierający górny pokład i skakać na dół.

— „Wiera usuń się, pójdę do pani X" i Zocha nie czekając, aż ta podniesie się, łapie ją za ramiona, odsuwa od brzegu i sama zeskakuje z pryczy. Po kilkunastu minutach biegnie zdyszana.

— „Wiecie," krzyczy jeszcze ode drzwi „pani nauczycielka jedzie do swojej rodziny, a my pozostaniemy pod opieką jakiegoś wojskowego."

Pomiędzy dziewczętami gwar jak w ulu —„zmyśliłaś Zocha" — nie chcą wierzyć.

A jednak prawda. Po tygodniu pani X. wyjeżdża. Dziewczęta czują się osamotnione, do tej pory nie traciły fantazji, ale teraz tak jakoś obco, a tu

jeszcze męczą z kąpielami, dezynfekcją ubrań.

Drugi tydzień mija. Przychodzi polecenie, ażeby te co jadą pod obcemi nazwiskami zostały jeszcze, a reszta ruszać ma dalej,

Dziewczęta w rozpaczy — tak chciałyby być razem, ale rozkaz wyraźny i pierwsza grupa, a pomiędzy nimi Dona i Ryśka, odprowadzane przez koleżanki, jadą do Warszawy.

Pozostałe wracają do baraków. Idą spokojnie, bez śmiechu i gwaru — co ich czeka dalej, myśli każda — gdzie los porozrzuca te wyrwane z gniazd pisklęta. W szarych oczach Zochy błyszczą łzy. Dona wyjechała, a przecież była dla niej jak siostra, kochały się bardzo. Zrównoważona, lecz energiczna Krysia podchodzi do niej i próbuje pocieszać.

— „Niewiadomo jeszcze, mówi — czy nas wyślą do innych miast, więc nie martwię się — ja myślę, że my także podążymy za tamtemi, tylko przecież nasze papiery nie w porządku, jedziemy pod obcemi nazwiskami."

Słowa Krysi spełniają się, po trzydniowym jeszcze pobycie w Dorohusku, jadą i one do Waszawy, tylko pod eskortą policjanta.

Noc. Na wijącym się szlaku kolei żelaznej głucho dudnią koła pociągu i ciężko sapie lokomotywa, wyrzucając co chwila ognistą kometę iskier.

W wagonie towarowym poukładane na ławkach, walizkach, śpią nasze repatrjanki.

Przez maleńkie szybki z ciemno szafirowego nieba mrugają gwiazdki, zaglądają wysokie drzewa, stojące przy mijanych drogach i wioskach. —

Co chwila, któraś ze śpiących dziewczynek obudzona przystanięciem pociągu i głosem kolejarza wywołującego stacje, przeciera zaspane oczy i pyta — gdzie jesteśmy?

Ciemny szafir nieba blednie, gwiazdy gasną jedna po drugiej, jak świeczki na choince. —

Budzi się szary świat. —

Drzwi szarpnięte ręką kolejarza otwarły się i ostra fala grudniowego powietrza wdarła się do wagonu. Przebudzone już dziewczęta zasypały go pytaniami:

— „Dokąd dojeżdżamy, co to za głosy słychać za nami?"

— „Stacja Lublin, a głosy, hm — to w nocy przyczepili wagony z bydłem do naszego pociągu.—"

Kolejarz poszedł dalej. Pomiędzy dziewczętami powstał ruch.

— „A to w ładnem towarzystwie jedziemy. Nie dosyć, że w wagonie towarowym jeszcze z bydłem. — "

Ostry gwizd wydarł się z gardzieli lokomotywy i pociąg stanął, wyrzucając z siebie ostatnim wydechem tryumfalny pióropusz dymu. —

Zocha wrzuciła na siebie palto i wybiegła na peron. Przeszła przed wagonami i zarumieniona z błyszczącemi oczyma wpadła do koleżanek.

— „Wiecie — zawołała śmiejąc się, przyczepili do nas wagony ze słomą, z drzewem, bydłem, jeszcze tam z czemś."

— „I my z tem do Warszawy zajedziemy?.."

— Jedna z mniejszych dziewczynek zaczęła płakać.

— „Ja parę lat — mówiła szlochając — nie widziałam tatusia, teraz na stację wyjdą wszyscy znajomi, a ja z bydłem przyjadę u.. u.. u.. — . „

— "Cicho Staszka, czego buczysz, tak jeszcze prędzej pomyślą, że tu wagon ze zwierzątkami — „ krzyczy Zocha.

Lecz ta dalej zalewa się łzami. Do wagonu wszedł policjant.

— „Proszę pana czy my dalej pojedziemy z tą słomą i bydłem.?" — Nie, wagony te odczepiają już, za chwilę przewekslują nas na linję warszawską i ruszymy. „ Dziewczynki uspokoiły się.

W rogu wagonu, na walizkach siedzą Krysia, Wiera i Zocha — jedzą śniadanie.

"Gdzie obracają się teraz Dona i Ryśka — mówi Zocha — może już są umieszczone w jakim zakładzie. Boże, czy my spotkamy się kiedy z niemi? „

d. c. n.

Ira Adamska.

PADA ŚNIEG...

Pada śnieg, cicho lekko i sennie,
Tańczą w krąg śliczne płatki białe,
I kładą się na pola bezbrzeżne,
W szatę śnieżną tulą je całe.

Pada śnieg, brzęczą sanek janczary,
Ziemia jest jak czarów cudny krąg,
Ciszy ból, i kielich szczęścia cały,
Daje nam do wyciągniętych rąk. —

Pada śnieg, lekko, jasno, spokojnie,
W sercu zcichł zgryzoty stały gość,
Wypłynęły z białych śniegów rojnie
Ukojenie, nadzieja i radość.

Ira Adamska.

Czy mię kto wspomni...

Czy mię ktoś wspomni kiedyś w przyszłości,
gdy pokolenia nowe żyć będą?
Co będzie cennym w człowieku w ów czas?
Czy rozum, praca, czy dzielność.
A może inne przymioty w ludziach
mędrcy wynajdą na ziemi?
Czy wolność ludów uszanują państwa?
A ludy życie jednostki na ziemi?
I zniosą karę śmierci,
która nas tak dziś plami?
A może, wrogie dziś ludy się złączą.
i bratnie uścisną dłonie? —
To wiem, że chwila upływa w życiu,
i płynie dalej, jak modra rzeka,
a woda skały kruszy przy brzegu,
i dąży dalej w tym szumnym biegu,
jak czyny ludzkie przez życie
znacząc ich bytność na ziemskiej kuli.

Wiktor Skandynawian.

KRONIKA.

Polskie morze.

W dniu 10 lutego r. b. minęło jedenaście lat od chwili jak uzyskaliśmy dostęp do morza, a przez to została nam otwarta droga do dalekich krajów zamorskich.

Rozumiejąc doniosłe znaczenie tej ważnej dla nas zdobyczy, w wytężonej pracy przez te jedenaście lat umacnialiśmy odzyskane wybrzeże.

Na miejscu dawnych nieużytków stoi dzisiaj potężny port: Gdynia, który z iście amerykańską szybkością wzrósł i stanął na strażnicy polskich wód. Swą potęgą i ogromem imponuje on dziś staremu Gdańskowi.

A miasto Gdynia należy dzisiaj do jednego z większych ośrodków polskich na Bałtyckim wybrzeżu

To też dzień tak ważny dla każdego Polaka i myśmy uczcili w odpowiedni sposób. Po lekcjach zjechaliśmy się w hoolach, gdzie są umieszczone głośniki, a nauczyciel p. Gurbiel przez naszą rozgłośnię radjową miał odczyt o doniosłości i znaczeniu morza.

Wyjazd p. dr. Starkiewicza.

Przed kilkoma tygodniami wyjechał do Francji w celu naukowym kochany nasz p. dr. Starkiewicz. Wszystkie dzieci i młodzież z niecierpliwością i tęsknotą oczekują drogiego nam lekarza i przyjaciela.

Powrót p. dr. Pallado.

W ostatnich dniach stycznia powrócił z urlopu naukowego z Warszawy p. dr. Pallado. Po miesięcznej przerwie rozpoczął on ponownie pracę w naszem sanatorjum.

Kilka słów dla Sz. P. W. Tatarkiewiczowej.

Za ciepłe i serdeczne słowa wypowiedziane do nas w ostatniej skrzynce radjowej przez Szanowną Panią, przesyłamy tą drogą serdeczne podziękowanie.

Swojemi ciepłemi słowami sprawiła nam Szanowna Pani niekłamaną radość. Wszystkie dzieci z zaparciem oddechu chwytały słowa wylatujące z głośnika, a wypowiadane nazwiska wywoływały na obliczach właścicieli gorące rumieńce zadowolenia i radości.

Długo potem rozmawiały jeszcze o tem, przypominały sobie każde słowa, przeżywając tę przyjemność po raz drugi.

Do Szkoły Powszechnej w Kreślinie.

Za miły list przysłany nam, bardzo serdecznie dziękujemy.

Jest nam bardzo przyjemnie, że zainteresowaliście się naszem życiem. Z gazetki naszej, którą wyślemy, dowiecie się więcej jeszcze o nas. Cieszymy się bardzo, jeżeli możemy nawiązać kontakt z uczącą się młodzieżą. Jeżeli i Wy redagujecie swoje pisemko, to bardzo prosimy o przysłanie go nam również.

OSTATKI.

Koniec karnawału. Wszyscy hołdując tradycji starają się hucznie go zakończyć.

My także nie pominęliśmy sposobności zabawienia się. Wszak mówią, że śmiech to zdrowie. Po południu gromada masek jak: małpa z komicznym grymasem tańczyła z zieloną żabą, a przepiórka zapomniała, że teraz zima i uganiała się za nimi. Była i straszna śmierć, tylko, że nikt jej się nie bał, ponieważ z pod maski wyglądała czuprynka chłopca z czerwonej sali.

Na sali liljowej starsze dziewczynki już późnym wieczorem urządziły u siebie zabawę. Para cyganów Aza i Turmy wróżyli wszystkim kolejno. Japonka znów uprzejmie zapraszała na czarną kawę, lecz niestety nikt się nie spieszył, bo do tej czynności trzeba było usiąść, a my prawie wszyscy leżymy. Więc każde podziękowało za gościnność grzecznej Japoneczce. Pod koniec zabawy weszła do sali olbrzymia pani (wysoka — dwa metry) i powitałyśmy ją chóralnym śmiechem. Dama gięła się w ukłonach aż przekrzywił jej się kapelusz i spadł, a następnie obsunęła się suknia wyłoniła się zarumieniona buzia jednej z dziewczynek chodzących.

Zabawę zakończyło wejście na salę nieboszczyka — karnawału. Pomimo tak smutnego końca humory były świetne i jeszcze po zgaszeniu światła rozlegały się wesołe śmiechy.

PRZEJAŻDŻKI.

Zamiast spacerów chodzące dzieci wyjeżdżały sankami pod opieką wychowawców na popołudniowe przejażdżki do parku i lasu. Z przejażdżek tych wracały pełne humoru i wrażeń, a spostrzeżeniami swemi dzieliły się z koleżankami i kolegami którzy nie mogli korzystać z tej przyjemności, albowiem stan ich choroby nie pozwalał na to.

Do Członków Miejskiej Biblioteki Dziecięcej w Dąbrowie Górniczej.

Koleżankom i kolegom za słowa uznania dla naszego pisemka, wyrażone w liście, pisanym do nas, a także za zainteresowanie uprzejmie dziękujemy.

Cieszymy się bardzo z nawiązanej z Wami korespondencji. Obecny numer pozwolimy sobie wysyłać Wam w dwóch egzemplarzach. W naszem sanatorjum jest również bibljoteka, lecz nie jest ona tak bogata jak Wasza.

Na pozdrowienia odpowiadamy również pozdrowieniami, wszystkie Zagłębianki i Zagłębianie przesyłają Wam serdeczny uścisk dłoni.

Kronikę opracowała

Marysia Żakówna.

Sprawozdanie szkolne.

Kierownictwo naszej szkoły dało nam sprawozdanie i statystykę ile dzieci wyjechało od nas w ciągu jednego półrocza roku szkolnego 1930 | 31 i z jakiemi stopniami, oraz ile dzieci zostało sklasyfikowanych w I-em półroczu 1930 | 31 roku.

Ze sprawozdania wynika, że ilość dzieci wybitnie uzdolnionych jest u nas większa niż w szkołach dla dzieci zdrowych.

Sądzimy, że najważniejszą przyczyną tego jest to, że dziecko chore, zużywając mniej energji na ruch, zużywa ją właśnie na rozwój umysłowy.

Ilość dzieci, które opuściły nasze sanatorjum w ciągu I-go półrocza 1930 | 31, z ogólną oceną ich pracy szkolnej:

Oddział:	Chłopcy.	Dziewczęta.	Razem.	Ogólne — stopnie w nauce. bardzo dobry.	dobry.	dostateczny.	niedostateczny.	nieklasyfikowane
I.	12	19	31	5	11	12	3	—
II.	8	2	10	5	1	3	1	—
III.	11	6	17	3	7	4	1	2
IV.	8	5	13	3	3	6	1	—
V.	1	1	2	—	—	2	—	—
VI.	—	1	1	—	—	1	—	—
VII.	—	1	1	—	1	—	—	—
Razem	40	35	75	16	23	28	6	2
Oceny procentach:				21, 4%	30, 5%	37, 5%	8%	2, 4%

Wynik oceny pracy uczni naszej szkoły I-em półroczu 1930 | 31 roku.

Oddział:	Chłopcy.	Dziewczęta.	Razem.	Ogólne — stopnie w nauce. bardzo dobry	dobry.	dostateczny.	niedostateczny.	—
I.	10	15	25	3	15	6	1	
II.	8	8	16	2	9	4	1	
III.	4	2	6	—	4	—	2	
IV.	9	6	15	5	3	4	3	
V.	5	4	9	—	3	4	2	
VI.	2	—	2	—	1	1	—	
VII.	—	2	2	1	1	—	—	
Razem	38	37	75	11	36	19	9	
Oceny w procentach:				14, 8%	48%	25, 5%	12%	

W dniu 31 stycznia uczyło się 91 uczni — sklasyfikowano 75, niesklasyfikowano z powodu krótkiego pobytu w naszej szkole 16.

„Kącik dla najmłodszych".

Zgodnie z zapowiedzią redakcji w poprzednim numerze, otwieramy kącik dla najmłodszych i umieszczamy tu utwory i artykuły tych najmniejszych autorów. Może są one niezbyt udolnie ujęte, lecz są tak

proste i szczere, jak prostem jest ich życie na Górce. Autorami są uczniowie szkoły powszechnej od oddziału III-go do VII.

Kochanych czytelników prosimy przeto o wyrozumienie przy ocenie tej rubryki

REDAKCJA.

Przygody Jurka i jego kolegów.

Mały Jurek chwat nielada.
Cały dom wciąż o nim gada,
Zwinny w ruchach, butna mina,
Postać ma Indjanina.
Kiedy biegnie leśną drogą,
Ziemia tętni mu pod nogą.
Gdy na drzewo znów się wspina,
To Tarzana przypomina.
Czasem bywa, że gust zmieni
I w parowóz się zamieni,
Huczy, syczy, w biegu staje,
Pasażerom sygnał daje.
Poza domem, koło lasku,
Gdzie tak dużo leży piasku,
Stoi szałas zbudowany.
„Fortecę Jurasia" — zwany.
Tylko błyśnie letni ranek,
Wnet tam biegną Jurek, Franek,
Zbyszek, Wacek — cała czwórka,
A za sobą ciągną Burka
Burek — jest to dzielna psina,
On w „fortecy" wartę trzyma,
Na wyprawy z Jurem chodzi,
Często-gęsto spory godzi.
Bo gdy chłopcy się pokłócą,
I do czupryn swoich rzucą,
Gdy powstają jakieś spory,
Wnet doń Jurek: „Bierze go, stary".
Rozkaz pana to rzecz święta,
Już któregoś za porcięta,
Ciągnie na bok mała psina,
Tem do zgody napomina.
Jurek kocha swego Burka,
Kocha go też cała czwórka,
Bo pocieszne zna figielki,
I przyjaciel z niego wielki.
Raz rzekł Jurek „Dosyć wrzasku
Poco bałaganić w lasku?
Rzućmy dziecinną zabawę,
I do kniei na wyprawę"
— — — — — — — — — — — —
Wczesnym rankiem, przed świtaniem,
Każdy ze swojem śniadaniem,
Torbą, nożem, no i sznurkiem.
Wędrowali chłopcy z Jurkiem.
Szli wędrowcy nasi mali,
Przez krzaki się przedzierali,
Przez pagórki i doliny.
Już znudzone mieli miny,
Już do domu wracać chcieli,
Gdy wtem patrzą. coś się bieli. . .
Słyszą w krzakach łomot srogi,
Mało myśląc, hyc na nogi!
I do krzaków już przypadli,
Idą dalej coś tam błyska,
Patrzą bliżej, to ślepiska.
Wielkie były jak talerze.
Jeszcze dzisiaj im nie wierzę
I coś mruczy i coś jęczy . , .
Lęk ogarnął ich zajęczy . . .
Idą dalej, — to się rusza . . .
Ślepska na nich wybałusza . .
Naraz, — ryknął potwór srogi,
Tu się zgięły chłopcom nogi.
W głos się wielki rozpłakali
Podróżnicy nasi mali.
Jurek pierwszy rozum zbiera
I na drzewo już się wdziera.
Wtem z krzaków potwór wyskoczy
I do chłopców prosto kroczy.
Oni z krzykiem się zrywają
Ale wstydu tu doznają,
Bo przed niemi krowa stała,
Krowa starego Michała.
Ona w lesie zabłądziła,
Naszych chłopców wystraszyła.
Teraz wstydzą się okrutnie.
Wracają do domu smutnie.
Idą chłopcy bez humoru
Z pierwszej wyprawy do boru.

Zaruta

„STARY WILK".

Niedaleko za ubogą małą wioską rozciągał się duży, ciemny las. W tym lesie było dużo zwierzyny. Były tam: lisy, zające, wilki, wiewiórki, niedźwiedzie, sarny, — słowem — wszystko. W tym lesie ludzka noga nie była i nikt siekierą nie tknął ani jednego drzewa. Słowem był to ogromny zarosły różnemi drzewami bór. W jednej takiej gęsto zarośniętej kniei mieszkało stare wilczysko. Miał on duże pazury, ogromną paszczę, a wielkie jego ślepia jarzyły się jak dwa czerwone węgle. Ponieważ była zima, więc wilk nie mógł tak łatwo znaleść pożywienia. Chodził do wsi, właził do zagród ludzkich i porywał owce, lub bydło. Dużo bardzo narobił ludziom szkody ten wilk niedobry Pewnego dnia wilk szedł drogą. Wtem przez drogę przebiegł stary tłusty zając. Wilk spostrzegł go zaraz. Puścił się w pogoń za zającem. Gonił go, choć się bardzo zmęczył, ale zając uciekał, co tylko miał sił. Wilk chciał dopiąć swego celu, ażeby porwać zająca. Aż nagle dały się słyszeć dzwoneczki. Zaślepiony tą pogonią, wilk pędził dalej, aż znalazł się nieopodal sanek. Przejeżdżali tamtą drogą myśliwi. Już wilk miał w swej paszczy zająca, gdy niespodziewanie z lufy strzelca padły strzały. Wilk ze swoją ofiarą padł na miejscu.

Kto cudzym kosztem żyć chce, sam często żyć przestaje.

Walerjan Kraśnik, ucz. oddz. VI.

Wspomnienie z saneczkowania się na Górce.

Bardzo był przyjemny dzień niedzielny, w którym my, wszyscy chłopcy z czerwonej sali poszliśmy na saneczki. Dzień był pogodny i słoneczny, więc po obiedzie wybraliśmy się na saneczki. Śmiechu i gwaru było niemało. Gdy jechałem w wielkim pędzie, nagle sanki podskoczyły do góry i wjechałem do brzózek. Wszyscy śmiali się ze mnie. Drugim razem jechała pani pielęgniarka z jednym chłopcem. I oni też szczęśliwie nie przejechali. Gdy kawałeczek ujechali, potknęli się o cegłę, która była przymarznięta do ziemi. I w tej chwili sanki wywróciły się, a pani pielęgniarka z chłopcem wpadła w zaspę śnieżną Jeszcze kilka razy zjechaliśmy z podobnemi przygodami, lecz bez żadnego wypadku. Po dwóch godzinach, które przeszły niewiadomo kiedy, wróciliśmy na salę na podwieczorek. Dobrze i przyjemnie skończył się dzień saneczkowania się chłopców czerwonej sali.

Oby tak zawsze było dużo śniegu!

Gawron Józef ucz. Oddz. IV

Za komitet redakcyjny dziecięcy **K. Błaszkiewiczówna.** Redaktor odpowiedzialny: **W. Dobrowolski**
Wydano przez Kolonję Leczniczą Dziecięcą im. Dr. Med. Rektora Józefa Brudzińskiego przy Zdroju w Busku.

Prenumerata roczna zł. 6.— półrocznie zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 groszy.

Zakłady Drukarsko-Introligatorskie St. Łuszcza, w Busku-Zdroju tel. 42.